



Zapiski teatralne

TRUTNIE

W TYDZIEŃ po inauguracji nowego sezonu 1970/71 dramatem Stefana Żeromskiego „Turoń”, Teatr Zielonogórski wystąpił z kolejnym przedstawieniem premierowym, prezentując tym razem komedię współczesną Marka Domańskiego „Trutnie i kobiety”. Przedstawienie, które swe pierwsze starcie z publicznością miało w powiatowej Szprotawie, trafiło pod koniec listopada na scenę macie rzystą dopiero po miesięcznym „turnee” po województwie. Widz Zielonogórski otrzymał więc sztukę w pewnym sensie już wygraną, wielokrotnie sprawdzoną, pozbawioną premierowego dreszczyku i tremy.

A więc tym razem odwrotna kolejność mająca, jak sądzę, na celu przede wszystkim racjonalne rozplanowanie spektakli teatralnych w terenie i premier w mieście wojewódzkim, planowe operowanie dwoma sztukami o odmiennym charakterze i stopniu trudności ekspozycyjnej. Pomysł wart podkreślenia i kontynuacji o ile oczywiście starczy zespołowi sił na wypuszczanie premier parami. Przejdźmy jednak do sztuki i samego przedstawienia.

„Trutnie” są już czwartą sztuką Marka Domańskiego, wystawioną w Zielonej Górze. Poprzednie to „Kobieta w trudnej sytuacji” (1961), „Zawsze nieznany ład” (1964), „Ktoś no wy” (1966). Ta ostatnia zrobiła swego czasu furorę w kraju, zwracając uwagę wszystkich na autora i widząc w nim nadzieję polskiej komedii współczesnej gatunku raczej wymierającego. Jej cechy, widoczne zresztą w całej dramaturgicznej twórczości Domańskiego, to przede wszystkim bystra, wręcz dziennikarska obserwacja, przyłapywanie życia niejako na gorącym uczynku, rejestracja faktów naszej codzienności, wzbogaconych zmysłem ciętego satyryka. Wszystkie te sztuki nie posiadają am-

blacji zbyt wielkich uogólnień, są proste, dobrze napisane i ciekawe, trafiają do każdego widza, są jak się je określa „użytkowe i użyteczne”, poprostu korespondują z życiem. Zogniskowanie tych cech znalazło najpełniejsze odbicie w „Ktosiu”, gdzie teza prezentowanego problemu wyjątkowo celnie trafiła w społeczne zainteresowanie, odsuwając na plan dalszy udział teatru w jego scenicznej transpozycji. W przypadku tradycji zielonogórskiej, było to jedno z tych przedstawień, które się pamięta jedynie ze względu na ukazane treści.

Mam wrażenie, że wielu naszych widzów wybierając się na nową sztukę Domańskiego, miało jeszcze w pamięci „Ktosia”. I tu chyłła nastąpiło rozczarowanie, autor nie spełnił nadziei. „Trutnie” to komedia zupełnie innego typu, chciałoby się rzec bezproblemowa, rodem z uwspółcześnionej farsy, sztuka której podstawową racją jest rozrywka. Ze znanego do tej pory Domańskiego pozostała tylko umiejętność podpatrywania życia, tym razem w jego kuchennych wymiarach. Również literacko zaskakuje jej banalność. Rzadkie to uczucie aby człowiek na komedii się nudził. Coś z tego odczuwałem chyba nie tylko ja. I doprawdy nie na wiele zdały się tu wprowadzone przez Teatr różne gagi z gubieniem spodni na czele, czy też nadanie całości pozorów kryminalnej zagadki, która w pierwej rzeczywiście frapuje, później natomiast ze względu na swą monotoność w przypadku minianu, irytująco nuży. Ten watek w sztuce zdecydowanie przegrał. Rozumiem że bez niego mielibyśmy tylko normalną opowiestkę o małżeńskiej małej stabilizacji, agresywności kobiet i trutniach-meżczyznach, posiadająca jednak swój własny czysto komediowy żywioł, miejscami błyskotliwa, chwilami wzięta z życia, co prawda o humorze nie zawsze najwyższego lotu, ale jednolitą i bezpretensjonalną.

Zaważyło to również w moim przekonaniu na reżyserii całości. Wspomniana już podstawowa warstwa sztuki (nb. jej zasadnicza treść) została rozwiązana w retrospekcji, część sensacyjna natomiast na planie pierwszym. Rzecz w teatrze nie nowa, za chowuje się jednak zawsze pewien dystans między tzw. umownością a tym co się dzieje „niby rzeczywiście” a stanowi jak gdyby odautorski komentarz. W zielonogórskim przedstawieniu nie potrafiłono tego w sposób wyraźny rozgranaczyć. Obie te warstwy wzajemnie sobie przeszkadzają, tym bardziej że sensacyjną rozegrano w konwencji „na poważnie”, drugą natomiast z przechyłem w kierunku farsy. To pewne qui pro quo widoczne było również w scenografii. Retrospekcja otrzymała oprawę przesadnie naturalistyczną, wypracowaną z benedyktyńską cierpliwością, z każdego szczegółu (nie pozbawioną coprawda swoistego uroku), plan pierwszy natomiast tajemniczą umowność. Jak na przedstawienie już wygrane (ogłądałem premierę zielonogórską) zabrakło też całości odpowiadającego tempa będącego w zgodzie z kalejdoskopową zmianą obrazów i sytuacji.

W sztuce bierze udział pięć osób. Mogli się podobać wszyscy, choć specjalnych okazji do pokazania aktorskich możliwości nie dał im przede wszystkim autor, występujący tutaj nawet przeciw schematom przekonywającego budowania postaci, zbyt ufając „prawdzie życia”. Interesujące były obie panie. Janina Jankowska (empirycznie pracujący psychoanalityk) oraz Barbara Strzeszewska (urokliwy kocia o obsesyjnym zacięciu do szczęścia rodzinnego) wydołyły z posiadanego tekstu maksimum tego, co ku zabawie przydatne być mogło. Ryszard Zieliński (kawaler, który dał się złamać) udowodnił, że i w komedii czuje się nie najgorzej, Jerzy Głapa natomiast (mąż-pantoflarz „z cicha pęk”) udawadniać tego już nie musiał.

Sztukę reżyserowała Maria Straszewska. Scenografię przygotował Zbigniew Bednarowicz.

AMI
(Fot. Cz Ł.)